

ANDRZEJ
MAKOWIECKI
PIĘĆDZIESIĄT
MELONÓW



Księży MŁYN
DOM WYDAWNICZY

ANDRZEJ
MAKOWIECKI
PIĘĆDZIESIĄT
MELONÓW



W 1990 roku ukazało się pierwsze, niepełne wydanie książki Andrzeja Makowieckiego „Pięćdziesiąt melonów”. Niniejsze wydanie jest pierwszą pełną edycją tej powieści.

Korekta:

Monika Ulatowska

Fotografia na okładce:

ze zbiorów Ryszarda Bonisławskiego

Projekt okładki:

Wojciech Miatkowski

Skład:

Joanna Pelc

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2017

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-471-0



KSIEŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2017. Wydanie 1

Nie wszystkie wydarzenia są zmyślone; prawdziwe jest tylko miasto. Niech tak będzie.

Dwadzieścia trzy lata temu zamordowano w Łodzi młodą, piękną dziewczynę, pochodzącą wedle ówczesnych kryteriów z bogatego domu. Sprawcy do dzisiejszego dnia nie wykryto. Opinia publiczna, zazwyczaj ślepy i bezwzględny wróg sprawiedliwości, próbowała początkowo rzucić cień na Bogu ducha winnego studenta, narzeczonego ofiary, co zaważyło wydatnie na jego późniejszym życiu.

Wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku dwóch młodych mężczyzn dokonało rozboju na konwojentach, którzy w ciętym powiatowym mieście przewozili z NBP do Banku Spółdzielczego pięćdziesiąt milionów złotych. Padły strzały, były ofiary w ludziach. Pieniądze i bandyci rozplynęli się we mgle.

Nikt nie przypuszczał, że obydwie odległe w czasie przestępstwa miały ze sobą związek. Nić, która niebawem osiągnęła średnicę powrozu, prowadziła do kamienicy przy jednej z głównych łódzkich ulic.

POSESJA NUMER 84

Jest tam brama o dwóch żelaznych, poobijanych przez samochody pacholkach. Głowy pacholków, na których w pogodne dni siadają pijani w sztok synowie stróża, ozdobione są szyderczymi twarzami krasnali. Nad bramą wisi niczym dziób okrętu wykuszowe okno. Balkony frontowe i niektóre stiuki zostały dla bezpieczeństwa zerwane, kamienica wszelako nie całkiem straciła na uroku. Tkwi w samym środku miasta, kilkadziesiąt metrów od ulicy Piotrkowskiej.

W bramie lewe, wylizane brązową farbą drzwi wiodą do siedliszcza dozorczy i na tym kończy się ich szlachetna misja. Natomiast prawymi drzwiami dojdiesz do marmurowych schodów i podążysz, jeśli tylko masz siłę i ochotę, do mieszkań lokatorskich na pierwszym, drugim i trzecim piętrze.

Dalej jest wylane różowym betonem podwórko z gazonem obmurowanym niebieskimi kafelkami. Niegdyś, wiosną i latem, gazon kipiał od kwiatów, ale odkąd dozorca osiągnął po raz pierwszy upojny stan delirium tremens, przestał zajmować się kwiatami i gazon przypomina teraz ponurą parcelę cmentarną.

Podwórko ze wszystkich czterech stron otoczone jest trzypiętrową zabudową mieszkalną, nad którą biegnie dookoła strych-poddasze, a u podnóża kamienicy zionie czternaście prostokątnych otworów piwnicznych. W zagraconych, zasypanych węglem i kartoflami piwnicach usłyszysz nieraz złowieszczy pisk szczura. W marcu piwnice należą do kotów, które zawodzą nocami jak niemowlęta albo wrzeszczą z przerażającym okrucieństwem.

Po drugiej stronie podwórka, na wprost frontowej bramy znajdziesz inną, mniej okazałą bramę z wejściem na ostatnią klatkę schodową. Brama ta wyziera na piaszczysty dziedziniec, gdzie stoją rzędem pojemniki na śmieci. Jako się rzekło, permanentnie pijany dozorca nie ma ostatnio czasu na zajmowanie się głupstwami, rzadko więc przy pomocy dwóch skacowanych synów wywleka pojemniki na ulicę, aby przekazać je samochodom Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Cuchnie. Dziedziniec graniczy przez mur z przedszkolnym placem, na którym pod opieką zatykającej nos wychowawczynie bawią się w tumanach kurzu blade, wesołe dzieciaki.

Na tym można by zakończyć opis posesji numer 84. W bramie frontowej wisi zakurzony spis trzydziestu dziewięciu głównych lokatorów. Jest wśród nich milicjant, jest położna, jest lekarz, jest emerytowany urzędnik-elegant, który trzy razy dziennie zmienia ubranie i dumny jak paw, to w muszce, to w krawacie, paraduje po podwórku. Nas ci ludzie jednak w ogóle nie obchodzą. Nas obchodzi tylko pięć podstawowych osób dramatu. Dobry obyczaj nakazuje, aby zacząć od kobiety.

GEJSZA

Barbara S. nie była kurwą, aczkolwiek w poufnych rozmowach tym właśnie mianem określały ją sąsiadki. Barbara S. nie była także w całym tego słowa znaczeniu prostytutką. Nie miała opiekuna, nie przeżywała w kawiarniach, nie łowiła na ulicy, a w domu, w mieszkaniu na drugim frontowym piętrze kamienicy, przyjmowała sporadycznie. Bywało wszakże, iż przed bramą, pomiędzy jednym drzewem lipowym a drugim, zatrzymywał się z dyskretnym pomrukiem silnika mercedes o szwedzkiej bądź holenderskiej rejestracji i tuż za Barbarą wysiadał z auta przystojny, szpakowaty, zaawansowany już w latach dżentel-

men, aby wstąpić na marmurowe schody i spędzić z atrakcyjną Polką noc. Milicjant drogowy, młode jasnowłose, podpuszczone przez żonę chłopię, zasadał się kilkakrotnie o brzasku na zagranicznych klientów Barbary w przeświadczeniu, że uda się być może postraszyć ich balonikiem i łyknać z boku parę dolców. Kochankowie jednak zawsze byli trzeźwi, zawsze doskonale ogoleni i w ogóle pod każdym względem w porządku.

Barbara S. pracowała metodą usta-usta, przy czym nie chodzi tu o sztuczne oddychanie i nadmuchiwanie wielkanocnych jaj. Chodzi tu wyłącznie o system specjalnych ustnych poleceń. Zwracał się na przykład dyrektor Józwiak do dyrektora Dziegielewskiego:

– Z piękną dziewczyną byłeś wczoraj w teatrze. Chętnie zrobiłbym z nią łupu-cupu.

– Spróbuję to załatwić – odpowiadał dyrektor Dziegielewski i organizował wstępne spotkanie w trójkę w jakiejś eleganckiej, ale ustronnej knajpie, na przykład w „Dziku” albo „Pod Łódką”, albo w motelu „Na Rogach”, gdzie nie tylko można dobrze wypić i zjeść, lecz i przespać się w wygodnym łóżku. W trakcie kolacji Barbara była dla obydwu panów uprzedzająco grzeczna, przychodził wszelako moment, że wywoływała dyrektora Dziegielewskiego do holu i mówiła z ubolewaniem:

– Spław jakoś swojego przyjaciela, kotku.

– Nie podoba ci się?

– Och, byłby na pewno wspaniałym kochankiem, tyle tylko, że jest łysy, gruby, obleśny, trochę jakby niedomyty i potwornie zdyszany. Boję się, że jeśli nawet przeżyje stosunek, trzeba będzie wzywać kardiologa.

Scenariusz mógł również wyglądać odwrotnie. Wywołany do holu Dziegielewszczak, czy też inny zaprzyjaźniony z Barbarą dyrektor, wysłuchiwał nie bez zazdrości:

– No, wracaj do żony i do dzieciaków, myszko. Twój kolega to porządny człowiek, poradzimy sobie jakoś we dwójkę.

Przechodziła zatem Barbara z rąk do rąk. Była wymarzoną kurtyzaną dla wyższych kręgów średniej kadry dyrektorskiej, o czym świadczy dowodnie, iż zakochał się w niej pewien dyrektor departamentu. Nie dyrektorzy jednak wybierali, lecz ona. Gość musiał mieć oczywiście portfel, przy czym dobrze było, kiedy jego wygląd i zdrowie nie budziły zastrzeżeń, i kiedy nie potrzebował sięgać do portfela, aby udowodnić kim jest. Karki kelnerów mają zginać się automatycznie, a służba hotelowa winna stąpać na paluszkach.

Co do samego kochania i seksu, Barbara nie traktowała tych spraw rutynowo; nie bawiła jej ordynarna młócka na tapczanie i zwierzęcy ryk, jaki wydobywał się po kilku chwilach z płuc mężczyzny. W swoją pracę, jeśli można to w ogóle nazwać pracą, wkładała całe serce i duszę, całą bujną i nienasyconą kobiecość, która zawodziła ją rzadko, zwykle zaś stanowiła źródło mocnych i szalonych przeżyć. Akt miłosny był dla niej tym samym, co klasycznie zbudowany utwór muzyczny – długi wstęp, eksplozja i powolny odpływ w smutek mórz południowych. Początek był walką dwóch nienawidzących się płci, był wściekłością i pożądaniem, koniec natomiast przybierał tony uległe.

Barbara S., którą nieliczne grono znajomych nazywało Gejszą, nie pochodziła bynajmniej, jak to bywa zwykle wśród dziewcząt upadłych, z marginesu społecznego; nie miała również nic wspólnego ze środowiskiem robotniczym, ceniącym nade wszystko u kobiet czystość charakteru i cnotę. Ojciec Gejszy był inżynierem budowlanym; matka, dama niepozobawiona pretensji, grała trochę na fortepianie i śpiewała, przechwalając się w przerwach szlacheckim rodowodem. Gejsza dorastała samotnie; marzyła o braciszku lub siostrzyczce, ale nie doczekała się ich, co martwiło również inżyniera – nie dlatego, aby chciał mieć więcej dzieci, lecz dlatego, iż syn dziedziczyłby po nim nazwisko. Tak czy owak, kochał ogromnie jedynaczkę, a ona nie sprawiała mu zawodu aż do chwili, kiedy w wieku szesnastu lat zabrał się do niej po lekcjach

w gimnazjum nauczyciel rosyjskiego, typ przystojny, wszelako niebywale bezczelny, o sadystycznym usposobieniu i swoistym poczuciu sprawiedliwości. Nocą grzała mu łóżko, rano, wobec koleżanek i kolegów, wzywał ją do odpowiedzi.

– Tępier' Warwara – mówił i kazał jej streszczać *Wiśniowy sad*. Ponieważ milczała jak zakłeta, walił dwojgę, wychodząc z założenia, iż człowiek radziecki musi odgrodzić życie osobiste od czynności zawodowych.

– Skurwysyn – wyplakiwała się później przyjaciółce w bluzkę. – Może bym i przeczytała to sztuczdyło, ale jak miałam to zrobić, kiedy bez przerwy mnie rznął.

Romans nie był wcale przelotną miłością. Trwał. Wkrótce dowiedziało się o nim grono pedagogiczne, darzące radzieckiego sokoła szczerą i niewymuszoną estymą, a potem rodzice Barbary, w związku z czym ojciec wezwał ją któregoś dnia do pokoju na rozmowę.

– Zaraz przyjdę – powiedziała i zniknęła na tydzień, aby zemścić się na ukochanym rusycyście z germanistą w Grand Hotelu. Germanista, w rzeczy samej dyrektor znanej monachijskiej spółki handlowej, w słusznym przeświadczeniu, że Polsce należy się odszkodowanie wojenne, wcisnął jej ukradkiem do kieszeni sto marek i tak się zaczęło. Dwa lata spędziła w drugiej klasie, a kiedy przeszła do klasy trzeciej i skończyła osiemnaście lat, wymogła na pijanym dyrektorze fabrycznym, aby podpisał jej kwestionariusz paszportowy, że to niby pracuje, i że zakład nie ma nic przeciwko wyjazdowi dziewczyny na tygodniową wycieczkę do Amsterdamu. Przyjechała po sześciu miesiącach z przyzwrotną znajomością angielskiego, zmieniła bowiem kierunek zainteresowań lingwistycznych. Rusycysta, którego szczerze słowiańskie serce wyło z bólu, błagał ją w bramie na kolanach, aby wróciła do niego i do szkoły.

– Trójkę dam na maturze – chlpał. – Bez gadania!

A Gejsza na to:

– Słuchaj, mały, jesteś naprawdę fajnym facetem i ukierunkowałeś mnie w życiu, ale teraz muszę iść do wujka.

Już wtedy żywiołem Gejszy byli chłopcy-dyrektorzy, owa wspaniała, jurna, umiejąca cieszyć się nocą i dniem rasa ludzi, którzy mają dzieci, żony, prywatne i służbowe kochanki, prywatne i służbowe samochody, władzę, pieniądze i w ogóle wszystko prócz rozumu. Szybko posiadała sztukę manewrowania tymi ćwokami. Kiedy jeden z drugim pozbawiony taktu bęczał sięgał do kieszeni, aby wręczyć jej rulon banknotów, podnosiła ze zdziwieniem brwi.

– Cóż ty do cholery myślisz, kochanie? Jeśli chcesz koniecznie sprawić mi przyjemność, to w „Centralu” są krótkie futerka.

Albo:

– Wołałabym raczej zaręczynowy pierścionek.

Albo:

– Przejdź się ze mną do tego komisju przy Narutowicza, obejrzymy komplet džinsowy.

I tak dalej. Kozuch, buty, perfumy, pończochy i suknie, narty, rakietka tenisowa, złoty zegarek, kilkanaście wpłat na konto dolarowe, książeczka PKO z uczciwym wkładem, czterotomowa Encyklopedia Powszechna, radiomagnetofon Hitachi, wreszcie telewizor Super-Infra Color Videoton, za który zapłaciła z własnej kieszeni, ale już z chwilą wytaszczenia z magazynu wart był podwójnie. Usiłowała wręczyć go rodzicom na srebrne wesele, ale zarówno ojciec, jak i matka, zrozpaczeni i zagniewani, nie przyjęli prezentu.

Ileż wstydu przeżyli obydwój! Najpierw wstydziła się tylko sąsiadów, potem znała już Gejszę cała dzielnica, wreszcie ojciec wyczytał ze spojrzeń podwładnych i kolegów, że sława jedynaczki dotarła do zakładu, w którym przepracował sumiennie ćwierć wieku. Wówczas pod naciskiem żony postanowił wyprowadzić się na Śląsk. Nie miał zielo-

nego pojęcia, że Barbara obróciła już jego szefów: dyrektora naczelnego i dwóch przystojnych wicedyrektorów, i gdyby tylko chciała, mógłby śmiało awansować. Tego jednak zrobić mu nie mogła. Patrzyła ze ściśniętym sercem, jak robotnicy ładują na platformę ciężarówki krótki pokojowy fortepian, stół, sześć krzeseł, bufet i parę innych domowych sprzętów. Matka nie odezwała się do niej ani słowem, ale ojciec zawrócił w ostatniej chwili i płakał. Kiedy po raz ostatni zamknął za sobą drzwi, rozszlochała się i Gejsza. Życie jednak ma swoje rygory. W trzy dni później wróciła do chłopców-dyrektorów i zaczęła kompletować mieszkanie. Wzbudziło to falę okrutnej zawiści. Konwent sąsiadów, w którym zasiadało więcej pań niż panów, próbował wyrzucić ją z domu. Odwiedziła Gejszę w godzinach porannych dziewczyna z obyczajówki, absolwentka uniwersytetu ubrana ze skromną, sztywną elegancją.

– Koniak? – zapytała Gejsza.

– Nie.

– Martini?

– Dziękuję.

– W takim razie wypije pani szklanekę herbaty – powiedziała stanowczo Barbara i podsunęła jej camele.

Funkcjonariuszka przekonana na schodach, że drzwi otworzy jej ściochrane przeciwnościami losu kurwidło, poczuła do Gejszy sympatię i przyjęła poczęstunek, przyglądając się uważnie gospodyni, która robiła doprawdy imponujące wrażenie. Była opalona, ale bez przesady, jako że chodziła do solarium przy Tuwima tylko raz na dwa tygodnie. Miała zdrową cerę, cudownie zarysowane biodra i piersi, jasne nieukarbowane, lśniące włosy i naiwne spojrzenie ladacznicy, czytającej przed snem wiersze Leśmiana.

Głowy, którą mam na karku,

Nie wygrałam na jarmarku,

*Lecz dostałam ją od Boga
i dlatego jest mi droga.*

Mądryemu człowiekowi głowa służy przede wszystkim do myślenia.

– Nie lubię zdziczenia obyczajów – rzekła Gejsza z prostotą. – Nie urządzam przyjęć, nie upijam się, nie narkotyzuję, nie tańczę i nie wrzeszczę, nie handluję bonami, nie trzymam w mieszkaniu dolarów i psów, radia i telewizji słucham po cichu, no i bardzo rzadko mie-wam gości. Trudno rzecz jasna powiedzieć, abym odczuwała przesadny wstręt do mężczyzn, ale niech mi pani pokaże takiego, którego oszuka-łam, zgwałciłam lub okradłam.

– Nie pracuje pani jednakże.

– Ano, nie. Jestem bogata z domu.

– Nie chce pani podjąć nauki?

– Studiuję we własnym zakresie angielski i geografę.

– Miałam na myśli liceum.

– Tam nie wrócę.

– Czemu?

– Zawiodłam się na belfrach.

– Mogłaby pani sprecyzować kwestię?

– W żadnym wypadku – zaprotestowała spokojnie Barbara. – Nie uznaję donosów.

Funkcjonariuszka przełknęła pigułkę i wyszła, żalując, że nie udało się pozyskać Gejszy do współpracy, która mogłaby zaowocować szoku-jąco. Uuuu! Byłby hak na kilku drani. Na Barbarę jednak haka nie było. Zakochiwała się po prostu częściej niż inne, uczciwe kobiety, ale nie kłusowała w łódzkich lupanarach, nie roznosiła chorób wenerycznych, nie rozbiła żadnego małżeńskiego stadła. Nie lubiano jej, lecz uroda zawsze budzi zazdrość. Nie ma rady!

Żyłła więc Barbara spokojnie, unikając sąsiadek i nie odpowiadając na ukłony zalotnych sąsiadów. W ciągu trzech lat wzbogaciła znacznie rejestr dyrektorów, w których gestii było dziwnym trafem drewno i wiele innych gałęzi rodzimego i zagranicznego przemysłu. Jeździła skromnie małym fiatem. Rzadko zarywała noce, spała do południa. Słuchała muzyki, nieraz brała do ręki książkę:

*Uważ, jaki zakat
Grozi twej sławie, jeśli łatwowiernie
Podszeptom jego oddasz ucho, serce
Sobie uwięzisz i skarb niewinności
Otworzysz jego bezwodzonym zapędem.
Strzeż się, Ofelio, strzeż się, luba siostrze;
I stój w odwodzie twej skłonności, zdala
Od niebezpieczeństw i napaści pokus.
Wstydlliwe dziewczę za wiele już waży,
Gdy przed księżycem wdzięki swe odstania.
Na samą cnotę pada rdza obmowy:
Robak zbyt często toczy dzieci wiosny,
Nim jeszcze pączki zdążyły otworzyć;
kiedy rosa wilży młodość hożą,
Wpływy złośliwych miazm najbardziej grożą.
Strzeż się więc; tarczą najlepszą w tej próbie
Niedowierzenie, nawet samej sobie*.*

Tęskniła za rodzicami, za ojcem, który od czasu do czasu, zapewne w tajemnicy przed matką, pisał do niej przepelnione miłością listy.

* William Szekspir, *Hamlet. Król Lewic duński*, akt I, scena III, w przekładzie Józefa Paszkowskiego, Kraków 1909.

Któregoś wieczoru kłasnął dzwonek u drzwi. Pomyślała, że syn stróża przyszedł po kosz ze śmieciami, aby opróżnić go na drugim podwórku i zarobić sto pięćdziesiąt złotych.

Przekręciła klucz w zamku i radość dosłownie ścięła ją z nóg. W progu stał jedyny mężczyzna, jakiego naprawdę kochała. W progu stał żenowany, nieśmiało uśmiechnięty ojciec. Zawahał się, nim pocałował ją w czoło. Zrobiła to, czego nie robiła jeszcze nigdy: oddała mu pocałunek w rękę. Nie od razu podniosła głowę i nagle poczuł na palcach wilgoć jej gorących, obfitych łez. Potem zniknęła w łazience, a on błędził oczami po mieszkaniu, którego nie poznawał, choć przeżył w nim dwadzieścia pięć lat. Korytarz wyłożony był ciemną boazerią; ściany sypialni i pokoju stołowego pokrywały pastelowe tapety. W obydwu pomieszczeniach z uperlonych sztukaterią sufitów zwisały ciężkie, mosiężne żyrandole; tu i ówdzie tryskał światłem bliźniaczy kinkiet – autentyk z okresu Księstwa Warszawskiego. W stołowym pysznił się czarny jak heban komplet gdański i wiśniowa skórzana kanapa z trzema głębokimi fotelami. Sypialnia przybrana była meblami à la Ludwik XVI. Docenił czystość i urodę parkietów wysłanych dywanami, których próżno byś szukał w polskich sklepach. No, no! Dwa kolorowe telewizory – „Videoton” i trochę mniejszy, japoński „Panasonic”, ustawiony na wprost szerokiego łóża. Co jak co, ale panna raczej nie głoduje.

Opuściła łazienkę i uśmiechnęła się zaczerwienionymi lekko oczami.

– Chcesz umyć ręce?

Skinął głową.

– Zrobię coś do jedzenia.

– Jestem po kolacji – zaprotestował, ale dziewczyna była już w kuchni. Pchnął szklane, przybrane holenderską zazdrostką drzwi i nim pochylił się nad zgrabną, kremową umywalnią Rico, doznał szoku. Łazienka, czy może raczej pokój łazienny, wstrętny niegdyś i zaniedbany, przypominał komnatę faworytnej żony sułtana z epoki rozkwitu dyna-

stii Osmanów. Wanna też była kremowa, okrągła, wpuszczona w podłogę, wchodziło się do niej po schodkach. Granatowa włoska glazura sięgała ze wszystkich stron sufitu. Marmurową terakotę pokrywał puszysty, czerwony kobierzec. Okucia półek, uchwyty do ręczników i armatura lśniły od niklu. W ścianę nad wanną wmontowany był modny, biały telefon bez tarczy, którą zastępowało dziesięć opatrzonych numerami przycisków. U okna stał mahoniowy stolik na kółkach.

Po co jej w łazience ten stolik? Zerknął na bidet i od razu odwrócił wzrok. Potem siedział w pokoju na kanapie i patrzył, jak blat niskiej gdańskiej ławy zapełnia się stopniowo tym, o co w Polsce jest trudno, i tym, o co w Polsce jest bardzo trudno, i to nawet wtedy, gdy masz chody w „Peweksie”. Był onieśmielony i skrępowany. Swoją drogą, mogłaby wykazać trochę taktu.

- Kieliszek wina czy brandy?
- Jestem samochodem.
- Na długo przyjechałeś?
- Nie. Wracam jutro po południu.
- Więc pościelę ci na kanapie.
- Innym razem – bronił się zmieszany inżynier. – Muszę być w hotelu, rano mam ważną konferencję.
- Gdzie stanąłeś?
- W Grandzie.
- Przecież to dwa kroki.

Aby pokonać te dwa kroki, niepotrzebny był samochód, równie dobrze można było pokonać je pieszo. Zatem nic nie stało na przeszkodzie, aby posmakował alkoholu. Nic również nie stało na przeszkodzie, aby zrezygnował z hotelowej nyży i udał się rano na ważną konferencję wprost z mieszkania córki. Tę myśl odsunął jednak brutalnie.

– Dobrze – westchnął. Sam napełnił kieliszki. Wypił. Koniak był doskonały, więc powtórzył manewr kilkakrotnie. Niebawem zaczął jeść

z apetytem to, o co trudno było w kraju, i to, o czym w kraju można było najwyżej pomarzyć. Schab, szynka bajońska, kawior astrachański. Na deser kawa i wonne hawańskie cygaro. Dreszcz przeszedł go na myśl, że mogłaby zobaczyć to żona, stercząca codziennie ze swoją problematyczną migreną w długich, kłótliwych kolejkach.

Tak czy owak, nerwy inżyniera odtajały wyraźnie. Nie czuł się już jak zdradliwy, nękanie wyrzutami sumienia kochanek, spędzający noc w domu ladacznicy. Był ojcem! Gościła go w końcu rodzona, najdroższa sercu córka.

Rozmowa biegła teraz swobodniej.

– Co u mamy? – zapytała nieśmiało Gejsza.

– Po staremu.

– Kwęka?

– Ano, trochę kwęka.

– Wspomina mnie czasem?

– Prawdę mówiąc, tylko w chwilach gniewu.

– Boże, jak ja za nią tęsknię! Jak bardzo chciałabym ją zobaczyć!

Przysunęła się do ojca i objęła go kurczowo swymi krągłymi, pachnącymi ramionami.

– Nie odtrącaj mnie tak zupełnie – szeptała, całując go w ciepłą zakłęśłość policzka. – Przyjedź czasem, spotkaj się ze mną czasem, choćby w obcym mieście.

– Pomyślę o tym – powiedział głosem ochryplym ze wzruszenia. Przełknął ślinę. Otarł grzbietem dłoni mokre od potu czoło. Wstał i podszedł do okna, które wychodziło na podwórko, i zobaczył w innym wysokim oknie jakąś ładną, chłopięcą, znajomą chyba twarz. Zacisnął pięści, żeby się nie rozpląkać. W głowie błysnęło odległe wspomnienie szkoły. Na lekcjach polskiego przerabiali sławną powieść Balzaka i starsi, cyniczni uczniowie mówili o tytułowym bohaterze z pełną słodyczy pogardą: Ojciec Woriot.

On też był ojcem Woriotem. Ciągłe jeszcze nie wyzbył się złudzeń. Ciągłe jeszcze czepiał się nadziei, że córka przywróci mu sens życia. Kiedy usłyszał za plecami szmer jej cichych, kocich kroków, odwrócił się i chwycił ją z całej siły za ręce i teraz ona widziała ponad jego ramieniem młodą, przystojną twarz chłopca w oknie, a starzejący się człowiek mówił rwącymi się, eksplodującymi żalem słowami:

– Marzyłem, że wyjdiesz za mąż, że będziesz miała swój cichy, miły, uczciwy dom, i że może kiedyś, wiesz, może któreś nocy albo któregoś dnia obdarujesz mnie wnukiem.

– Kto wie, tatusiu – powiedziała żarliwie Gejsza. – Może kiedyś doczekasz się wnuka.

Przyciągnęła ojca do siebie, nie zważając na chłopca, który wciąż tkwił w oknie. Chłopiec ten jest kolejną kluczową postacią naszego dramatu.

WICHER

Jacek T. mieszkał na trzecim piętrze w drugiej lewej oficynie domu numer 84. Miał siedemnaście lat i znajdował się aktualnie w klasie maturalnej, jako że matka posłała go do szkoły z rocznym wyprzedzeniem wychodząc ze słusznego założenia, że skoro ma płacić za przedszkole, to niech on lepiej wprzęgnie się od razu w kierat darmowej nauki. Nie znaczy to oczywiście, że Jacek T. był jakimś nadzwyczajnym geniuszem, ale nikt mu nie musiał zaglądać do kajetów i książek; czego nie odrobił, to ściągnął, czego mu nie kupili, to ukradł, dobrze liczył, chętnie czytał, przejawiał niewątpliwie smykałkę do męskich dyscyplin sportowych, a w mordę bił, nie zważając na wiek i kaliber przeciwnika.

Za Jackiem T. od najmłodszych lat przepadały dziewczęta, więc cnoty pozbył się w sposób naturalny i słodki. Można by stąd wysnuć

błędny wniosek, że Jacek był chłopcem sympatycznym. Otóż, nie! Jacek był wysoki, miał stalowe oczy i zdrowe, złociste włosy z tak zwanym wicherkiem, który pieje osobnikom rodzaju męskiego na czubku głowy, a Jackowi wybuchał na czole, co sprawiało wrażenie, jakby nieustannie skierowany był na niego silny strumień powietrza, i co dawało gwarancję, że gdyby Jacek dożył przypadkiem sędziwego wieku, zawsze pozostanie w nim ślad chłopięcej urody. Przy tym jednak charakter Jacka należał do trudnych. Miał nieruchomą twarz i wiecznie zasznurowane usta. Mówił twardo, krótko, bez intonacji. Uśmiechał się rzadko i był to zazwyczaj uśmiech szczerzącego zęby tygrysa. Mimo wszelkich istotnych przymiotów nie zdradzał skłonności przywódczych; żył bez przyjaciół, bez kolegów; nie wiązał się na trwałe z żadną dziewczyną; nie tańczył, nie słuchał muzyki, nie chodził na prywatki i zabawy; nie narkotyzował się i nie pił, palił natomiast amerykańskie papierosy. W wolnych chwilach laził godzinami po mieście albo przesiadywał w kinach: żuł gumę i wsłuchiwał się w trzask repetowanych karabinów. W domu miał wiatrówkę marki Diana odziedziczoną po starszym bracie. Kiedyś wiatrówka egzystowała na prawach zabawki, potem uzyskała status broni i trzeba było ją rejestrować. Nie zrobił tego. Strzelał z okna do gołębi na kominach. Powybijał wszystkie szyby w okienkach na strychu. Niejaki Brudas złożył na Jacka donos, więc przyszli i zabrali mu wiatrówkę. Wówczas zaczął interesować go dynamit.

Rodziców Jacek miał wspaniałych. Matka, jak to pięknie określa ją poeci, uległa gorącym porywom serca i opuściła go, gdy skończył osiem lat, aby wyjść powtórnie za mąż za jakiegoś safandulę z Wybrzeża. Z czasem starszy brat pouczył Jacka, że poeci kłamią: gorące porywy serca znaczą akurat tyle, co taniec penisa z waginą. Ojciec Jacka też był wspaniały: wyemigrował z kraju przed przyjściem chłopca na świat. Sprawiedliwie będzie dodać, że ojciec nie prosił wcale Pana Boga o to dziecko, i że z kraju chciał wyjechać dużo wcześniej, dokładnie:

w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, w owym brzydkim okresie, kiedy część polskiej inteligencji mogła ubiegać się o paszport w jedną stronę, bez prawa powrotu.

Był ojciec Jacka znanym rysownikiem i karykaturzystą. Współpracował z wieloma szacownymi tytułami; miał etat w satyrycznym dwutygodniku i pół etatu w redakcji filmów animowanych. Żył dostatnio, wszelako kiedy nadarzyła się sposobność, zamierzał wyemigrować, czemu stanowczo sprzeciwiła się żona.

– Sam nie wyjedziesz, bo nie dam zgody. Masz przecież na utrzymaniu dziecko. – Chodziło o starszego, jedyne go wówczas syna, Bernarda, który rozpoczął właśnie studia ekonomiczne. – My z tobą też nie wyjedziemy, bo nie chcemy zdychać z głodu i spać w przytułkach.

Karykaturzysta przyciął się więc. Żył z żoną pod psem, ale od czasu do czasu łączyło ich łożo i ku zaskoczeniu obydwojga, kobiecie, która przekroczyła już czterdziestkę, zaokrąglił się nagle brzuch. W siedemdziesiątym pierwszym roku, kiedy zbliżało się rozwiązanie i mały Jacuś torował sobie z wigorem drogę na padół goryczy i łez, tata wyjechał z „Orbisem” na trzydniową wycieczkę do Wiednia i już nie wrócił. Nie był na pępkowinach i nie był na chrzcinach. Nie ucałował noworodka w czoło. Przesłał jeno sto dolarów i pełen skruchy list, w którym zapewniał, że wszystkich bardzo kocha, i że wszystkiego bardzo żałuje, ale dalej już w tym chamskim, komunistycznym bagnie żyć nie potrafi.

Karykaturzystę-dezertera wyręczył w obowiązkach rodzicielskich jego syn pierworodny, Bernard. Zrobił to zaiste z wielką miłością i poświęceniem. Starszy od Jacka o dwadzieścia dwa lata, był mu bardziej ojcem niż bratem. Woził go na spacer do parku i kołysał do snu. Opowiadał mu bajki-straszki. Odprowadzał malca do szkoły. Na imieniny, urodziny i na gwiazdkę Jacek otrzymywał od Bernarda kosztowne prezenty. Kiedy matka odeszła do swojego bogatego safanduly na

Wybrzeżu, potroił starania o chłopca, który mimo swego szczenięcego wieku zdawał się być lekko zniechęcony do świata.

Bernard został magistrem ekonomii, ożenił się i wyprowadził na Teofilów. Nie miał dzieci i w dalszym ciągu trzymał nad Jackiem pieczę. Bywał u niego co drugi dzień. Uczył go, udzielał mu rad.

– Jeśli ktoś cię uderzy, nigdy mu nie oddawaj. Poczekaj, aż się odwróci. Wtedy skocz mu na plecy, złap za włosy, przewróć na ziemię i kopnij. I pamiętaj, że życie jest tylko jednym rozdaniem kart, a kartom trzeba nieraz pomóc.

Nie znaczy to wcale, że po wyprowadzeniu się kolejno ojca, matki i brata Jacek został w ponurym dwupokojowym mieszkaniu sam. Cały czas od chwili narodzin miał przy sobie babkę po kądzieli. Trudno powiedzieć, czy babka była we wnuku bezgranicznie zakochana. Można natomiast z całą pewnością stwierdzić, że była mu bezgranicznie oddana. Prała, gotowała, sprzątała. Zimą chodziła po węgiel do komórki i paliła w piecach. Teraz, wiosną osiemdziesiątego ósmego roku, dobiła już kresu swojej pracowitej ziemskiej wędrówki i Jacek często wyręczał ją w zakupach. Bernard tymczasem rzucił groszową posadę w biurze i posmarowawszy gdzie trzeba, otworzył stragan w rynku przy placu Niepodległości. Oszukując na sto różnych sposobów Urząd Skarbowy, zdołał jakoś spłacić bunkier w blokach i kupić używany samochód. Przynrzekł Jackowi:

– Pomogę ci, jak pójdziesz na studia.

– Nie pójde na studia – odparł Jacek.

– Dlaczego?

– Po co mam się męczyć? Wcześniej czy później trafię do twego straganu i będę sprzedawał bluzki.

– Na miłość boską, chłopie! Ale maturę chyba zdasz?

– Zdam albo nie zdam. Grozi mi lufa z fizyki. Wiesz, co ta kurwa powiedziała? „Jak podpiszesz zobowiązanie, że nie staniesz do matury,

postawię ci trójkę. W ten sposób otrzymasz świadectwo ukończenia szkoły, a egzamin maturalny złożysz za rok”. I mnie to wystarczy.

– Ale mnie nie wystarczy. Chcę, żebyś miał przynajmniej maturę. Pogadam z tą kurwą.

– Nic nie wskórasz. Ona mnie kiedyś zaprosiła do domu i powiedziała, żebym wszedł do łóżka. „Nie musisz się nawet ruszać. Będę cię tylko całować i pieścić”.

– I czemu tego nie zrobiłeś, idioto?!

– Wstrętna!

– Przecież to niesłychanie podniecające!

– Jak się słucha z daleka, to podniecające, ale jak spojrzysz z bliska w taki obmierzły, pomarszczony dziób...

– Ja ją ciachnę!

– Nie ciachniesz. Ona ma słabość do młodzieży.

– Więc może ją trzeba posmarować?

– Uczciwa! Z jednej strony kurwa, a z drugiej kryształ.

– Bzdury! A w ogóle, to czemu ty nie masz jakiejś stałej dziewczyny?

– Będę miał dziewczynę.

– Kiedy?

– Niedługo.

– Upatrzyłeś sobie kogoś?

– Tak.

– Kogo, jeśli wolno spytać?

– Gejszę.

– Ty chyba zwariowałeś?!

– Nie. Wcześniej czy później będę ją miał.

– To jest dopiero kurwa nad kurwami!

– A mnie się zdaje, że to najuczciwsza dziewczyna w tym mieście.

– Starsza od ciebie o pięć–sześć lat.

– Nie szkodzi. Będę ją miał. Jakbyś dał mi sto tysięcy, miałbym ją jutro.

– Sto?

– Sto.

– Już ci daję te sto tysięcy, Wicher! I to w twardej walucie.

Uderzył lekko Jacka w pierś, po czym objął go swoim niedźwiedzim ramieniem. Kochali się. Bardzo się kochali! Łączył ich węzeł silniejszy niż śmierć. A śmierć była blisko. Śmierć była w głowie jednego i drugiego brata, tylko bali się jeszcze o tym mówić.

Jacek wielokrotnie przeczytał reportaż o pewnym niecodziennym incydencie na Okęciu i gromadził wiedzę o ładunkach wybuchowych. Niby to takie proste! Znany autor twierdzi, że wystarczy umiejętnie porozmawiać z jakimś gościem, który pracuje w przedsiębiorstwie budowlanym, zajmującym się wysadzaniem w powietrze starych domów i zdobyć za pół litra kilka lasek dynamitu. Można zresztą polecieć na atrapę: starannie wykalkulowany i niedziecinny bynajmniej plan Jacka przewidywał i taką ewentualność.

Chłopak pocił się na samą myśl, a myślał o tym bez przerwy również owego wieczoru, kiedy odwiedził Gejszę ojciec. Widok pięknej, pożądanej skrycie dziewczyny uspokoił go trochę, potem Gejsza zgasiła światło, więc znowu zaczął komponować szczegóły swego złowieszczego planu. O północy rozległ się rumor kroków na podwórku i Jacek zobaczył przez okno grubego, urąbanego w cztery stodoły sąsiada, który mieszkał naprzeciwko.

Sąsiad ten jest następną osobą naszej tragedii. Odegrał w niej rolę wielce pozytywną, ale wysoce niesympatyczną. Tak czy owak, musimy wprowadzić go patetycznie.

KUKURYK

Każde miasto ma swoich dziwaków, o których mówi się przy różnych okazjach. Są to zazwyczaj ludzie bezimienni; znaczy ich osobliwy ubiór, wada wymowy, kalectwo lub szczególny rodzaj zachowania. Dziwacy są w mieście taką samą atrakcją jak zabytki architektury; życie bez nich byłoby jałowe i nudne; mali chłopcy nie mieliby kogo wyśmiewać na ulicach, a w kawiarniach i urzędach szybko zabrakłoby tematu do rozmów.

Łódź na przestrzeni lat obfitowała w przeróżnych dziwaków i można było usłyszeć o nich zabawne dialogi:

– Wczoraj widziałem w tramwaju tego staruszka z harmonią i brodą do pasa.

– On jeszcze żyje?

– Tak. Był pijany w trupa, śpiewał jakąś polityczną, szalenie obelżywą piosenkę i na przystanku zwinęła go milicja.

Albo:

– Ech! Ten ślepiec, co sprzedaje spinacze na rogu Andrzeja i Piotrkowskiej...

– No, no!... mów pan, panie Władku! Mów pan!

– Aaaa, nic, uczeplił się wczoraj jednej damy, ona w krzyk, wrywa się jak opętana, a on swoje: kup, pani, nierdzewne, stalowe!...

Są także dziwacy malarze o szalonych oczach van Gogha; są dziwacy o zboczeniu militarnym, paradujący środkiem chodnika w cywilnych spodniach i wojskowych kurtkach z orderami i naszywkami na lewej piersi; są dziwacy wśród nawiedzonych pieśniarzy pojawiający się jeszcze od czasu do czasu na podwórkach starych kamienic; są dziwacy mamroczący pacierze pod murami kościołów i dziwacy, którzy wyciągają ręce po jałmużnę na ruchliwych ulicach. Są zdziwaczałe kobiety, których wiek dawno już stoczył się w dolinę mroku, a ich ubiór i ma-

kijaż ciągle jeszcze przypomina czasy szkolne; są tacy, którzy zmienili swe mieszkania na sierocińce dla kotów, i tacy, których życie spełza w parkach na dokarmianiu gołębi.

– Rano spotkałam tę kobietę z trójką psów.

– Co pani powie, kochana!

– Tak jest. Ona chuda jak zmore, one tłuste. Spaskudził się ten największy na trotuar, a ona, za przeproszeniem, ściskając w ręku wszystkie trzy smycze, drugą ręką zbiera gówno w gazetę.

O dziwakach nie mówi się w telewizji, a w prasie ich nazwiska znaleźć można tylko w rubryce wypadków. Kiedy do Sopotu przed wieloma laty miał przyjechać prezydent Francji, wszyscy tamtejsi dziwacy, włącznie z tym, który chodził w stroju indiańskiego wodza, zostali na kilkanaście godzin przymknięci. Trudna jest egzystencja dziwaków – anonimowi, a przecież sławni, będący w pewnym sensie własnością społeczną, rozśmieszający nas, zabawiający i wzruszający, tułają się gdzieś na peryferiach życia. Kelnerzy nigdy nie wpuszczają ich do restauracji, a portierzy do pomieszczeń hotelowych. Wszystkie drzwi są przed nimi zamknięte. W naszym mieście wszelako mamy dziwaka, którego specjalnością jest akurat otwieranie wszelkich drzwi, furtek i bram, zapór i szlabanów, i wciskanie się tam, gdzie nie wciśnie się zwykły śmiertelnik. Na tym polega właśnie jego dziwactwo. Poza tym wygląda normalnie – nie nosi na grzbiecie żadnego ekstrawaganckiego płaszcza, chodzi zwykłym, nieco ciężkim krokiem, gdyż waży sto dwadzieścia kilogramów. Jego twarz pozbawiona jest piętna obłędu; włosy ma ni to długie, ni to krótkie, tłuste i proste, zwinięte w wiór nad czołem, co upodabnia go trochę do Majakowskiego; oczy szare, dolna warga lekko obwisła, jakby pod ciężarem przyklepionego do niej papierosa najpodlejszego gatunku. Mieszka ów człowiek w rzeczonym domu numer 84 – pokój z kuchnią na poddaszu; kamienne schody kończą się na podeście trzeciego piętra, a dalej prowadzą już schody drewniane,

trzeszczące i brudne, zatrzymujące się przed drzwiami zamkniętymi od zewnątrz na kłódkę.

Dziwak, chociaż ma przecież swoje banalne polskie imię i nazwisko, znany jest na podwórku i w ogóle w całej Łodzi pod pseudonimem Kukuryk. Sławę zdobywał Kukuryk powoli, w ciągu czterdziestu lat bytowania w mieście, którego – sądząc po cerze – nie opuścił jeszcze nigdy dla jakiejś głupiej wsi czy lasu; łódzkie, zatrute sadzami powietrze było mu droższe od woni kwiatów i drzew. Nauk gruntownych nie pobrał biedaczysko, kończąc edukację na którejś tam klasie szkoły podstawowej dla przzerośniętych. Ciężyła na nim w okolicy opinia głupiego Józka. Aż tu pewnego dnia starszy syn dozorczy wrócił do domu z meczu piłkarskiego niezwykle wzburzony i za jego udziałem gruchnęła w czterech ścianach kamienicy sensacyjna doprawdy wiadomość, że Kukuryk jest przyjacielem pierwszoligowych piłkarzy.

– Sam widziałem – mówił wibrującym ze zdenerwowania głosem starszy syn dozorczy – jak Kukuryk niósł za Sadkiem torbę, i Sadek, żeby tak zdrowia nie doczekał! rozmawiał z nim niby kolega z kolegą.

Od tej pory bulwersujące donosy o koneksjach Kukuryka zaczęły napływać regularnie. A to widział go ktoś na zawodach tenisowych w charakterze przedzierającego bilety, a to na koncercie rozrywkowym, gdzie pełnił jakieś nieokreślone funkcje, gaworząc w pauzach ze znanymi solistami, a to znowu na defiladzie pierwszomajowej, trzymającego mikrofon przed ustami telewizyjnego spikera, przy czym w chwilach, kiedy między jedną kolumną a drugą wytworzyła się przerwa i spiker mógł zawiesić czasowo potok swej kwiecistej wymowy, szeptał coś z poważną miną Kukurykowi na ucho, ten zaś przytakiwał skwapliwie.

Na basenach pływackich bywał, pilnując, aby dzieci kąpały się w miejscach dozwolonych; w teatrze podczas sztuk premierowych uzbrojony w latarkę odprowadzał na miejsce spóźnione osobistości z miną tak srogą, że niejednemu wiceprezydentowi zaplątał się krok. Krótko mó-

więc, wszędzie mogłeś i możesz go spotkać: przy wypadkach drogowych walczącego jak lew z gapiami usiłującymi zobaczyć z bliska krew i poگیęte karoserie; przy wisielcu; przy pożarze katedry; na wystawie wieloryba; na Święcie ulicy Piotrkowskiej i na Interfashion, do czego zresztą w swoim czasie wrócimy, gdy Kukuryk zatrzyma się w pasażu ZWM.

Najnormalniejszy z dziwaków miał swoje ciche pasje. Bywało, że opuszczał rano dom, ściskając pod pachą blok rysunkowy. Niektórzy sąsiedzi podejrzewali, że uprawia ukradkiem malarstwo. Inni twierdzili, iż blok przydaje mu splendoru rzutkiego menadżera. Były to jednak fałszywe domysły. Kukuryk nie musiał uciekać się do żadnych takich chwytów. Swoje cenne znajomości zdobywał w uczciwy, choć niepojęty dla innych sposób, zaś blok służył mu do niewinnego kolekcjonowania zdjęć.

Inną pasją Kukuryka było wiedzieć zawsze, co się dzieje w Łodzi. Nie dać się ubiec i zaskoczyć, trafić na miejsce przed konkurencją! Wymagało to bacznego podsłuchiwania i nieustannej, wnikliwej obserwacji. Kukuryk obserwował więc miasto, a jak wracał do domu, z równą uwagą obserwował podwórko, co w pełni zastępowało mu rozkosze radia i telewizji, których nie miał, i których mieć nie chciał, marzył natomiast o lornecie.

Kukuryk znał nazwiska wszystkich lokatorów: wiedział, gdzie kto pracuje, z kim sypia, czym handluje i od kiedy mieszka w posesji numer 84. Ten adwokat na przykład, zajmujący lokal nad drugą wewnętrzną bramą, ściągnął tutaj dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, dwa lata przed wprowadzeniem stanu wojennego. Ciekawe, co to za gość? Unika ludzi. Odpowiada niby na pozdrowienia, ale jakoś niewyraźnie. Kukuryk postanowił zaczepić przy najbliższej okazji adwokata, który skądinąd również figuruje na liście naszych bohaterów.

MECENAS

Andrzej W. zapowiadał się niegdyś na wielkiego prawnika, ściślej biorąc: na wielkiego znawcę prawa, i wszystko wskazywało na to, że po ukończeniu studiów zostanie na uniwersytecie, aby osiągnąć szybko wysoki szczebel naukowej kariery. Taka była wola jego ojca, sędziego w stanie spoczynku, i matki, poważanej w mieście internistki. Taka była wreszcie wola samego Andrzeja. Tymczasem wstrząsające morderstwo, którego przed dwudziestoma trzema laty dopuścił się ktoś na jego dziewczynie, odmieniło koleje losu przystojnego i ambitnego młodzieńca. Dochodzenie uwolniło go wprawdzie od podejrzeń, ale plotka bez ustanku rzyła pod nim doły – łaskawe dawniej koleżanki zaczęły od niego stronić, koledzy przestali zapraszać Andrzeja na domowe uroczystości, a grono niższych stopniem wykładowców patrzyło na swego najzdolniejszego studenta wilkiem.

Tę samą nieufność wyczuł Andrzej w okolicach rodzinnego domu, ba, wyczuwał ją nawet pośród dalszych krewnych – kuzynów, ciotek i wujów. Był to zapewne wystawiony po czasie rachunek mściwej zazdrości i uciecha, że dumny, lekko zarozumiały chłopak zwicznął sobie nogę. Cierpieli również rodzice, pokazujący się z nim w miejscach publicznych z nadzieją, że demonstrując swoje przywiązanie do syna, złagodzą wokół niego atmosferę. Ponieważ nie przyniosło to rezultatu, ojciec poradził Andrzejowi, aby zmienił nazwisko na panięńską godność matki i dokończył studia na Uniwersytecie Wrocławskim.

Tak się i stało. Andrzej wyemigrował, na kilkanaście miesięcy do obcego miasta, po czym, jako podlegający nakazowi pracy magister, przystał na wyjazd do maleńkiego uzdrowiska w górach, gdzie zasiadł na parę lat w kancelarii prawniczej, zajmującej się nade wszystkim sianiem zgody między tutejszym, tego pijącym i skorym do awantur chłopstwem oraz roztrząsaniem sporów o miedzę.

Spędziłby chyba w owym grajdole szmat życia, ale kapryśne koło fortuny potoczyło się nagle w kierunku przeciwnym. Andrzej był w partii, do której wstąpił na trzecim roku studiów. Opłacał sumiennie składki i chodził na zebrania w komitecie gminnym. Zebrania miały przebieg euforyczny. „Dużośmy zrobili, towarzysze, jednakowoż nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy zrobili więcej”.

Dookoła zaś kwitło złodziejstwo i korupcja, sekretarz młócił sekretarkę, komendant prowadził do spółki z aptekarzem bimbrownię, a naczelnik trzeźwy był tylko wtedy, kiedy brali go do szpitala na kroplówkę. W sklepach tymczasem brakowało najprostszych towarów, drogi tonęły w błocie, nauczyciele mieszkali w czworakach, szkoła przypominała remizę strażacką przed kapitalnym remontem, na jarmarku i w gospodzie co i rusz padał trup i zawodzący ponuro kondukt żałobny zmierzał ospale w stronę rozwojowego cmentarza.

Kiedy ustąpił miłościwie panujący Wiesław i ster władzy dostał się w ręce pięknego Edwarda, milcząco dotąd Andrzej wstał nieoczekiwanie i przemówił do partyjnych towarzyszy z takim ogniem i taką pretensją, że obserwator z ramienia komitetu powiatowego był doprawdy zachwycony. Wróciwszy zatem do powiatu, złożył niezwłocznie raport pierwszemu sekretarzowi.

- Coś nadzwyczajnego! – krzyknął od progu.
- Mógłbyś rozwinąć tę skrzydlatą myśl?
- Oczywiście!

I obserwator opowiedział sekretarzowi swoje wrażenia z wizyty w komitecie gminnym.

– Wspaniały gość! – mówił o Andrzeju. – Przystojny, wykształcony, dobrze ubrany i ma gadane, towarzyszu, ma gadane!

– I o czym on tak pięknie gada? – zaciekawiał się sekretarz.

– O niesprawiedliwości społecznej, o malwersacjach i przekupstwach, o potrzebie nowych inwestycji.

Bruździ, jednym słowem – pomyślał sekretarz. Atakując gminę, która podlega przecież powiatowi, ciska kamienie do mojego ogródka. Muszę drania natychmiast spacyfikować.

– Dobrze ubrany i wykształcony, powiadacie?

– Tak! – przytaknął obserwator.

– I gada do rzeczy?

– Jak najbardziej!

– Więc trzeba go do nas ściągnąć. Przyszło nowe i my teraz potrzebujemy takich ludzi, śmiałych, sprawiedliwych, inteligentnych.

Zatem w końcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku zaskoczony Andrzej został przeniesiony do miłego powiatowego miasta, gdzie otrzymał w komitecie powiatowym funkcję kierownika Wydziału Listów i Skarg. Wraz z tym odpowiedzialnym stanowiskiem przydzielono mu urocze, kompletnie urządzone mieszkanie w osiedlu bonzów pod lasem. Nowe lubiło luksus, tolerowało pstrokate krawaty, a jak ktoś się bardzo uparł, to mógł nawet zapaść brodę. Żony bonzów, popierające gorąco ówczesną odnowę, szybko nauczyły się korzystać z uciech życia i niejedna dawała Andrzejowi do zrozumienia, że chętnie wywinie z nim tango w pozycji leżącej. Nowy kierownik trzymał się jednak zasad moralnych i cały swój czas poświęcał robocie, którą traktował z ogromną powagą. Czytał setki listów podpisanych i setki anonimów zredagowanych z taką finezją, że większość mogłaby przydać blasku każdej antologii donosu. Przyjmował również setki interesantów mniej lub bardziej zrozpaczonych, skrzywdzonych albo udających, że są skrzywdzeni, szczerych jak serce psa i fałszywych jak dziadowski grosz. Interesanci interweniowali najczęściej w sprawach lokalowych, zdobyć mieszkanie było bowiem w owym czasie trochę łatwiej niż dzisiaj. Skarżyli się również na nędzne płace, niesprawiedliwych szefów, opieszale przedsiębiorstwa komunalne, łapówkarskich urzędników i tak dalej.

Andrzej uważnie czytał wszystkie listy i cierpliwie wysłuchiwał wszystkich petentów, po czym, odsiewając z instynktem rasowego prawnika ziarno od paprochów, sporządzał notatki i przesyłał je do innych, kompetentnych wydziałów z przekonaniem, że zostaną rozpatrzone. Szef był z niego niezwykle zadowolony; dał mu talon na samochód, a kiedy Andrzej oświadczył, że nie ma ani prawa jazdy, ani pieniędzy, załatwił od ręki jedno i drugie, były to bowiem lata bezzwrotnych pożyczek, sutyh gratyfikacji i szans uzyskania w łagodnym, przyspieszonym trybie eksternistycznym nie tylko takiego głupstwa jak prawo jazdy, ale nawet doktoratu. Dobre to były zaprawdę czasy dla ambitnych matolów, bogacących się i doksztalających w przerażającym tempie.

W trakcie konferencji sprawozdawczo-wyborczej, uświetnionej obecnością jednego z sekretarzy wojewódzkich, Andrzej zapisał się do głosu. Podobnie jak gmina, powiat był raczej z siebie zadowolony. Władzy żyło się dostatnio, a szary obywatel mógł kupić w zwykłych polskich sklepach za zwykłe polskie pieniądze artykuły pochodzenia zagranicznego. Nic nie stało na przeszkodzie, aby pan Nowak uperfumował żonę chanelem, a pan Wiśniewski rąbnął sobie do poduszki setkę francuskiego koniaku. Wszelako przemówienie Andrzeja dotyczyło innych spraw. Listy, anonimy i skargi osobiste sprawiły, że był on chyba najlepiej zorientowanym człowiekiem w powiecie. Mówił zatem z właściwą sobie pasją o tragicznym stanie budownictwa, o wielodzietnych rodzinach gnieźdzących się na przestrzeni paru metrów kwadratowych, o szpitalu, w którym brak łóżek i połowa chorych dogorywa na korytarzach, o panu ordynatorze, który nie lubi kwiatów, bo ich przecież zjeść nie można, o dyrektorze, który wyrzuca bezprawnie z fabryki na zbity pysk wszystkie osoby mające choćby blade pojęcie o jego złodziejskich praktykach, o walącej się w gruzy cerkiewce, o domu kultury,

gdzie jest sporo ludzi, ale tylko w szatni, szatniarka bowiem dorabia sprzedając alkoholu za cichą zgodą kierownika – karciarza.

O tym i paru dodatkowych łajdactwach rąbnął w dobrej wierze Andrzej z powiatowej trybuny, dziwiąc się, że twarz szefa przybiera barwę prześcieradła z porządnego hotelu. Tymczasem sekretarz wojewódzki pokraśniał z zadowolenia.

– Ostro wali! Nie pęka! Trzeba wspomnieć o nim Pierwszemu, a tych gnojków pozdejmować i rozpędzić czym prędzej, żeby nie zaturwali powietrza.

Identycznie rozumował redaktor wojewódzkiego dziennika, człek cyniczny, niepozbawiony jednak inteligencji i sprytu. Ucieszył się, że po serii nudnych, pochlebnych, wydukanych z mozołem przemówień Andrzej dostarczył mu wreszcie mięsa do reportażu. Warto obstawić takiego konia, uczyć się go i pokonać przeszkody w drodze do celu. Celem zaś, troskliwie skrywanym, nie było żadne, choćby najwspanialsze województwo, lecz Warszawa, gdzie redaktor miał urodziwą, nie posiadającą jednak mieszkania kochankę.

Ku oburzeniu działaczy powiatowych redaktor podbiegł do Andrzeja i zrobił mu zdjęcie. Następnie zamienił kilka słów z sekretarzem wojewódzkim, który w pewnej chwili skinął głową. Dzięki temu naza-jutrz w partyjnym dzienniku ukazało się obszerne sprawozdanie z konferencji, okraszone fotografią Andrzeja i naszpikowane jego krytycznymi uwagami. Sekretarz wojewódzki tymczasem wszedł zamasyście do gabinetu szefa, który siedział z nieprzeniknioną miną przy biurku i zakrywał łokciem powieloną w tysiącach egzemplarzy podobiznę mąciwody.

– Czołem! – powiedział sekretarz wojewódzki.

– Cześć – odparł flegmatycznie szef. – Siadaj.

– Dasz coś wypić?

– Nie. – Zerknął na gazetę z podobizną Andrzeja.

– Suszy mnie strasznie po tej wczorajszej konferencji.

Szef był ludzkim człowiekiem, więc nastąpiła zmiana programu.

– Hanka! – wrzasnął, a kiedy w drzwiach ukazała się utleniona głowa zauszniczy, rozkazał: – Przynies flaszkę i dwie herbaty.

– I coś na ząb? – zapytała poufale Hanka.

– Może być. – Po czym szef zaatakował niezwłocznie sekretarza: – W tym powiecie jest okropny burdel! – Podniósł pięść i grzmotnął Andrzeja w twarz. – Musimy odszlamować to bagno.

– I to z miejsca – zabasował sekretarz. – Trzeba zrobić gruntowną czystkę, bo jak nie, to nam wypomną, że tolerujemy ciemnotę.

– I szachrajstwo.

– Tak jest!

– A co z tym chujkiem? – Kciuk szefa spoczął na nosie Andrzeja i zaczął go lekko pompować.

– Prowadzi Wydział Listów i Skarg.

– Może wziąć go do nas?

– Kapitalny pomysł, Janku! Bęc!

– Bach!

Wypili i zakąsili. W tydzień później Andrzej ściągnął do wielkiego wojewódzkiego miasta i otrzymał w potężnym wojewódzkim Komitecie stanowisko zastępcy kierownika Wydziału Spraw Administracyjnych. Nie trzeba dodawać, że Chapman również służbowe mieszkanie z garażem i telefonem. Ech, życie! Był zażenowany, gdyż na ulicach kłaniali mu się w pas powszechnie znani ludzie: artyści, pisarze i profesorowie wyższych uczelni. Niebawem zasiadł w egzekutywie. Redaktor, któremu zawdzięczał swój błyskotliwy awans, napisał o Andrzeju dwa dalsze artykuły i zaprzyjaźnił się z nim. Wkrótce nauczył go pić, mataczyć i lawirować, przed czym Andrzej bronił się rozpaczliwie, ale bez skutku.

Wiedli ze sobą długie rozmowy i Andrzej, wprowadziwszy do przełyku kolejną porcję wódki, bełkotał głosem pełnym zgrozy i przerażenia:

– Patrz! Już od dobrych kilku lat jestem działaczem partyjnym, a w gruncie rzeczy niczego nie dokonałem. Walczyłem o gminę, lecz nie zmieniło się tam ani na jotę – drogi w dalszym ciągu toną w błocie, w szkole był niedawno pożar, nauczyciele po starym mieszkają w czworakach. To samo w powiecie. Żeby przynajmniej jedna z ruszonych przeze mnie spraw została załatwiona, żeby ktoś dostał sprawiedliwie mieszkanie, żeby w szpitalu przybyło jedno łóżko, żeby wykopali skurwysyna dyrektora, który ma teścia w Ka Ce i bezkarnie wywozi z tartaku lewe ładunki drewna.

– Ważne, że ty idziesz w górę – pocieszał go redaktor.

– Ale dlaczego, na miłość boską?! Dlaczego?!

– Bo dobrze gadasz.

– Z tego gadania nic, kompletnie nic nie wynika!

– Wynika.

– Co?

– Twoja kariera.

– Przecież to jest kariera werbalna!

– Nie szkodzi. W Polsce nastał czas dla karier werbalnych. Wiesz, co pewien sekretarz powiedział robotnikom, którzy zarzucali mu, że ma trochę za dużo pieniędzy, za dużo samochodów i dwie luksusowe wille w dwóch różnych uroczych zakątkach kraju? On im powiedział: „Wy nie patrzta, co ja robię; wy słuchajta, co ja mówię!”.

– Straszne!

– A mnie się podoba. Inny zagrożony cwaniaczek, którego mieli już zdjąć, rąbnął przed kamerami telewizji: „Szczerze wam powiem, towarzysze, że nie ma na świecie lepszego komunisty niż Leonid Breżniew”.

– I wybronił się?

– Jasne. Jego oświadczenie wzbudziło entuzjazm w ambasadzie radzieckiej.

– Chwilami mam ochotę odejść z komitetu.